Cena numeru 360.000 mkp.

№ 9 WARSZAWA, 1 MAJA 1924 R. ROK XI.

DRUŻYNA

ORGAN MŁODZIEŻY WIEJSKIEJ.

DWUTYGODNIK.

WYCHOWAWCZY, SPOŁECZNY, LITERACKI i OŚWIATOWY z ILUSTRACJAMI

Pod hasłem: BÓG — OJCZYZNA — CNOTA — NAUKA — PRACA.

Przedpłata wynosi: w Warszawie i na prowincji na kwartał II-gi 1.500.000 mkp. Numer pojedyńczy 20 gr. pol. wg. fr. szw.

Cena ogłoszeń: (na stronicach ostatniej i przedostatniej) cała str. 25 złp.; 1/2 str. 15 płz. 1/4 str. 8 zł.: 1/8 str. 5 zł., w tekśc o 30% drożej.

Adres: Warszawa, ul. Kopernika 30, I piętro. — Rękopisów nadesłanych redakcja nie zwraca.

Powrót Męczennika Wiary Arcybiskupa Cieplaka

Powrócił do Warszawy po roku więzienia w kazamatach moskiewskich, a wielu latach udręki, niewoli i zmagań męczeńskich, witany radośnie owacyjnie i z rozrzewnieniem ks. arcybiskup Jan Cieplak. Pozna go bliżej teraz kraj, znała go dobrze cała wielka emigracja polska w Rosji — to był jej prawdziwy ewangeliczny pasterz.

Studja teologiczne ukończył w Petersburgu i tam w stolicy państwa carów, a jednocześnie największej na świecie archidjecezji katolickiej prowadził swą pracę kapłańską i przechodził szczeble hierarchji duchownej. W 1908 r. został biskupem-sufraganem archidjecyzji mohylowskiej, a później po śmierci metropolity Kluczyńskiego chwilowo, a po wydaleniu z Rosji ks. arcybiskupa Roppa objął faktyczne rządy archidjecezji, jako wikarjusz generalny z tytułem arcybiskupim. Jeszcze w 1905 roku ówczesny biskup Cieplak dał się bliżej poznać swojej licznej owczarni, odbywając wizytację pasterską po całej Rosji i docierając do najdalszych „zapomnianych przez Boga i ludzi“ zakątków tajg syberyjskich. Już ówczesna podróż wizytacyjna ks. biskupa Cieplaka była wielkim czynem obywatelskim polskim.

W zapadłych kątach rosyjskich, do których dotarł biskup Cieplak, obudził On ducha i życie społeczne polskie, które od tej chwili już nie zamierało, stwarzając związki przyszłych-organizacji polskich, tak potrzebnych później, kiedy w czasie wojny rozlała się po Rosji fala nieszczęsnych przymusowych uchodźców ze wszystkich ziem polskich.

W marcu 1923 roku został ks. arcybiskup Cieplak wraz z ś. p. księdzem prałatem Budkiewiczem i innemi księżmi uwięziony, oddany pod sąd i skazany na śmierć za zwalczanie zarządzeń władz sowieckich względem kościoła katolickiego. Najbliższy pomocnik arcybiskupa ks. prałat Budkiewicz dn. 31 marca tegoż roku został zamordowany pomimo protestów całego świata. Ks. arcybiskupowi Cieplakowi — karę śmierci zamieniono na 10 lat więzienia.

I wówczas kiedy głowa urzędowej cerkwi rosyjskiej władyka Tichon podpisywał akt skruchy względem sowietów, arcybiskup polski w spokoju i z podniesioną głową znosił katusze ciężkiego więzienia, trwając niezłomnie przy swojej wierze i zasadach.

Przyjazd do Warszawy umęczonego Pasterza był imponującą, żywiołową manifestacją uczuć narodowych i katolickich stolicy.

W powozie, ciągnionym rękami wiernych, wśród szpalerów publiczności, wznoszącej entuzjastyczne okrzyki, błogosławiąc na wszystkie strony mieszkańcom stolicy, jechał ks. arcybiskup Alejami Jerozolimskiemi, Nowym - Światem, Krakowskim - Przedmieściem.

Orszak zatrzymał się przed kościołem Kapucynów, gdzie dostojny pasterz odprawił mszę świętą. Po skończonej mszy ks. arcybiskup Cieplak wśród żywiołowych manifestacyj ze strony tłumnie zgromadzonej publiczności odjechał do pałacu arcybiskupiego, w którym zamieszkał.

M. KONOPNICKA.

W winiarskim forcie.

(Dokończenie),

Nie kończył tego wachmistrz Dzieszuk nigdy; ale przy tych słowach znów stawał podobny do willisenowskich słupów.

A ot i dziś, wielkiego dnia po wielkiej nocy i święconego jajka Bóg doczekać dał. Od wczoraj już fort cały pełen był zapachów gorącego ciasta i mięsiwa, które zagłuszała nieco czeremcha, kwitnąca bujnie i rozgrzana słońcem kwietniowem.

Dzwony u Fary biją a biją, jakby pęknąć miały, a Dzieszuk nie śpieszy się jakoś. A czego się śpieszyć?

To nie ksiądz Cydzik będzie dzisiaj mszę żołnierską odprawiał. Złe jakieś szepty chodziły już od dawna po winiarskim forcie, ba po mieście całem. Gadali ludzie, że nowy proboszcz przybywał z daleka; gadali, że nawet po polsku nie umie...

Nie umie? Jakżeby to? Po jakiemużby się tu z ludźmi dogadał?

Tak sobie rozumował Dzieszuk, ale jakby mu mrówki po sercu lazły.

Ksiądz Cydzik od kilku dni nie wychodzi z domu. Powiadają, że chory, a może i nie chory. Może to tylko polityka taka. Jak politykować nie ma, kiedy od piątku na cudzych jakby śmieciach siedzi, bo się nowy proboszcz sprowadził z betami, z gratami, z kurami, ot i z tym kałakutem przeklętym, a dziś pierwszą mszę żołnierską ma mieć...

A no, da się to widzieć! Przestał mundur czyścić; wdział go na siebie i ruszył naprzód.

Wchodzi wiara, jak zawsze, dwójkami do Fary, a łeb Dzieszuka wyżej jeszcze, niż zwykle, nad wszystkiemi sterczy.

Na prawo przed ołtarzem klęczy w ławeczce ksiądz Cydzik, w starej swojej, znoszonej sutannie. Obie ręce złożone na wytartym brewiarzu, na rękach oparte czoło; z boku tylko widać nieco twarz jego zmizerowaną i żółtą, jak wosk.

Zaruszał się wąs szroniasty nad wargą Dzieszuka, ale nic. Aż tu zaraz i dzwonek brzęczy u drzwi zakrystji.

Wszedł nowy proboszcz — wspaniała osoba — i tubalnym głosem zaintonował *„Asperges"*. Rozstąpiły się dwójki na obie strony nawy, a celebrant ruszył środkiem, poprzedzony przez wylękłego i plączącego nogami chłopaka z kubełkiem wody, w komeżce.

Niema co, wspaniała osoba! Gdzie tam do niego księdzu Cydzikowi! Czarna kędzierzawa głowa, twarz mięsista, rumiana, świecące oczy; ręce białe i tłuste, ruchy zamaszyste. A buty skrzypią, jak u pana komendanta; a z pod kapy widać nową błyszczącą sutannę. Kropidłem macha, jakby kij w ręku trzymał; po ludziach bystro pogląda, jakby ich odrazu przeczuć chciał. Jaki taki oczy spuścić musiał.

Zaczęła się msza.

Ksiądz Cydzik nie podnosił głowy.

Zdawało się Dzieszukowi, że przez blade, cienkie palce klęczącego przesączyło się na brewiarz jakby kropel parę... i nagle go coś przy sercu ścisnęło. Żeby sobie wybić próżne myśli z głowy, dobył książeczkę i modlić się z niej zaczął. Ale modlitwa mu nie szła. Szczególniej to go stropiło, że nowy organista, który razem z nowym proboszczem nastał, trele jakieś wywodzi, a zwykłych pieśni wcale nie zaczyna.

I msza odprawiała się jakoś dziwnie krótko, węzłowato. Nie było w niej

tych długich modłów, tych cichych zachwyceń starego proboszcza. Od *„Introit“* do „Ewangelji“ — jakby z bicza trzasł. Połowy, gdzie! ćwierci zwykłych modlitw swoich nie zdążył Dzieszuk odczytać, kiedy już ksiądz *„Credo“* śpiewał. Przed podniesieniem znów oczy od książki oderwać musiał wachmistrz, bo mu się zdało, że świece ciemniej się jakoś u ołtarza palą, i że chyba połowa pogasła. Ale nie. Paliły się wszystkie. Tylko czemu ten organista nie zaczyna pieśni?

Ta pieśń doroczna, ta pieśń nie śpiewana tak mu wierciła w głowie, że padłszy na kolana przy podniesieniu, bił się w piersi, jak na *„Agnus“*, a za nim wiara grzmociła się tak samo, aż do ostatniego.

Ksiądz Cydzik klęczał nieporuszony. Zdawało się, iż to jest figura kamienna, której nadano twarz ludzką, bardzo bladą.

Po „Podniesieniu“ szronowaty łeb Dzieszuka obrócił się ku chórowi. Natychmiast wiara uczyniła toż samo. Na chórze wszakże nie odezwała się pieśń oczekiwana.

Dzieszuk zupełnie modlić się nie mógł. Trzymał wprawdzie książkę swoją na wysokości nosa, ale litery i wiersze migały mu przed oczyma, jak czarne punkty i wężyki. Wydłużał i przyciągał ręce, ale to nie pomagało.

Westchnął nareszcie z uczuciem ulgi, kiedy ksiądz wysokim tonem zaśpiewał: *„Ite missa est — Alleluja!“*

Ano, kiedy *„Alleluja“*, to już dobrze. Przynajmniej się wie, że to po polsku. Już chrząknął, już wydął piersi, już nogi dla pewniejszego dobycia głosu rozstawił, kiedy nowy proboszcz, zrzuciwszy ornat, przed ołtarzem, w albie, z sutą u szyi wstęgą żółtą, do nauki stanął i, zakreślając szeroko w w powietrzu nad zebranymi znak krzyża, donośnym odezwał się głosem:

„Im Namen des Vaters, des Sohnes, und des heiligen Geistes [1]) — Amen!“

Dzieszuk, który już do czoła rękę był podniósł, spuścił ją, jak paraliżem tknięty.

[1]) W Imię Ojca, i Syna, i Ducha Św. (niem.).

Co to? Co to jest? Co to ma znaczyć?

— *„Meine theuren Brüder!“ [1])* — zaczął ksiądz swoją przemowę.

— Chryste! To naprawdę?... Chryste! Chryste! Chryste!...

Wypadła z głuchym łoskotem książka z rąk Dzieszuka, a ręce te, drżące i kościste ręce podnosiły się zwolna coraz wyżej ku krzyżowi.

Wiara patrzyła w niego, jak w obraz cudowny. A łeb Dzieszuka razem z rękoma podnosić się zdawał tuż, tuż do nóg Ukrzyżowanego. Jeszcze chwila, a dostanie on nóg tych rękoma, oplecie je, uściśnie i włóczyć się będzie u tych stóp przebitych i nie puści, póki go tu zaraz nie przeżegna po polsku ksiądz Cydzik, póki Mateusz, stary organista nie zagrzmi: „Wesoły nam dziś dzień nastał“.

Wesoły... Chryste! Chryste! Toż dzień sądu, a nie dzień wesela. Chryste! to takie zmartwyshwstanie Twoje? To nie zmartwychwstanie, ale męka! Męka, i krew, i żółć, i przebicie boku włócznią!... Słońce i gwiazdy się zaćmiły, ziemia się wstrzęsła, powstawali z grobu umarli!... Boże, Boże! czemuś mnie opuścił? Boże, Boże! czemuś mnie opuścił?...

I ryknął stary Dzieszuk nagłym płaczem, i padł na kolana, i, wpatrzony w Chrystusa ukrzyżowanego, wielkim głosem zaczął śpiewać:

„Któryś za nas cierpiał rany,
Jezu Chryste, zmiłuj się nad nami!“

A za nim wiara tuż na kolana i w szloch, i w ono błaganie żałosne...

Stropił się nowy proboszcz u ołtarza, pomylił, z drugiego końca zaczął i znów się pomylił, ale nauki nie przerwał. Chłopaka tylko w bok szturchnął, wskazując mu palcem Dzieszuka.

Chłopak podszedł do wachmistrza i trącił go w ramię. Nic. Trącił go tedy powtórnie. Ale Dzieszuk nie czuł tego nawet. Zdawało mu się, że słyszy wbijanie nowych słupów willisenowskich... Wszakże on je pamięta dobrze. Od Noteci stały, od Krotoszyna, od Międzychodza, od Kępna, ale nie tu, nie tu, nie tu! Tu nie było ani

[1]) Moi kochani bracia (niem.).

jednego! On wie, że nie było, on przysiądz gotów!

I rozpostarł ręce i, twarzą na ziemię ległszy, rozkrzyżował się szeroko na kamiennych taflach, jakby broniąc przystępu tym słupom, które się same poruszały i coraz dalej szły, szły...

Ksiądz Cydzik klęczał nieruchomy z pochyloną na ręce twarzą, a jego wątłą postacią wstrząsało wewnętrzne łkanie.

Dawno już się nauka skończyła, a ksiądz Johan Wurst przez zakrystję na plebanię wracał, kiedy Dzieszuk oderwał swój łeb siwy od kamiennych tafli podłogi, podniósł się, zatoczył i jak pijany ku drzwiom iść zaczął, zapomniawszy po raz pierwszy zabrać książkę swoją.

Przy drzwiach trącił go Kociała.

— Ej, co tam, kumie! Dajcie spokój! Czekamy ze święconem jajkiem...

— Kto święcił? — zapytał głuchym głosem Dzieszuk.

— A któżby?... Nowotny [1])...

— Pożywajcie z Panem Jezusem — odparł Dzieszuk i powlókł się na kwaterę.

Tu zrzucił mundur, padł na tapczan, ukrył głowę w ręce, i długo widać było, jak się wstrząsa jego grzbiet kościsty.

Nad wieczorem rozbudził się, zjadł kawał czarnego żołnierskiego chleba i, zapaliwszy fajkę, zaczął chodzić po szczupłej stancyjce.

Chodził długo. Już w forcie winiarskim wszystkie światła zgasły, a jeszcze jego ciężkie kroki rozlegały się wśród cichej nocy.

Niebo tymczasem zaciągnęło się lekkiemi chmurkami, a ciepły, rzęsny deszcz wiosenny uderzył z pluskiem grubych kropli w ziemię.

Zatrzepotał się wtedy na grzędzie olbrzymi kałakut i zapiał na tę zmianę swym grobowym głosem.

Dzieszuk drgnął i nagle stanął. Stał przez chwilę, potem zrzucił stary lejbik [2]) czapkę nacisnął na uszy i wyszedł przyciszając kroku.

---

[1]) Nowy (proboszcz).
[2]) Lejbik, lajbik — mundur wojskowy.

Nazajutrz kucharka księdza Wursta podniosła okrutny lament. Ulubiony kałakut nowego proboszcza leżał wyciągnięty tuż pod żerdzią, która mu za grzędę służyła. Grube jego, pierzem obrosłe nogi sterczały skulonymi pazurami wysoko do góry, szyja była skręcona, przy silnym dziobie nieco krwi zaschłej.

Była to zapewne „szwabska krew".

Józef Ignacy Kraszewski.

(Dokończenie).

Zapisawszy się na nauki literackie (naukę języków, historję, piśmiennictwo), Kraszewski wszedł jednocześnie odrazu w życie koleżeńskie rówieśników, których uniwersytet wileński liczył wówczas około 1200, a byli to wszystko ludzie, jak on, młodzi, szukający we wszystkiem dobra i prawdy... Wesoły, dowcipny, pełen zapału i zdolności, młody student, wszędzie mile był widziany, porobił liczne znajomości z ludźmi starszymi, którzy niebawem mieli mu się przydać w jego początkującym zawodzie pisarskim.

Jednym z takich był profesor Klimaszewski, wydawca pisma p. t. „Noworocznik Wileński". On to pierwszy wydrukował w swej gazecie parę drobnych opowiadań Kraszewskiego i tem zachęcił go do dalszej pracy.

Ze wszystkich nauk w uniwersytecie najwięcej zajmowały Kraszewskiego badania nad językiem polskim i innemi, oraz poznawanie starożytnych naszych pisarzów. Widoczna w tem myśl rozumna, która kazała młodzieńcowi wykształcić w sobie przedewszystkiem język ojczysty, którym miał potem tak głęboko przemawiać do serca ziomków. To znów doprowadziło go do poszukiwania starych rękopisów i zabytków, do odczytywania nagrobków, zaglądania do księgozbiorów i badania naszych dziejów. Praca to była wielka, ale też wzbogaciła ona jego umysł i dała podstawę na całe życie.

W Wilnie przebył Kraszewski lat blisko pięć. Pod koniec pobytu stał się już głośnym, jako autor krótkich, pełnych życia i ciętości powiastek; parę pism prosiło go o współpracownictwo, a nawet księgarze zaczęli mu płacić za utwory. Młody pisarz poczyna teraz marzyć o sławie: „Sława! to piękna i święta rzecz! Żyć w pamięci ludów, w błogosławieństwie pokoleń—najwyższa to nagroda, warta poświęceń i znojów. Sława jest uznaniem człowieka przez braci, jest rzeczywistą, najwyższą płacą“!

Jednocześnie rośnie w nim niepohamowany zapał do pracy i przeświadczenie o jej konieczności: „Miło jest pracować, jak kto może — pisze do matki.—Będzie czas odpocząć wtedy, gdy już ręce nie będą mogły trzymać pióra, oczy nie zobaczą liter na papierze, głowa nie usnuje myśli“...

Całe dalsze życie Kraszewskiego było ciągłem, nieustającem ani na chwilę, wprowadzaniem w czyn tej szczytnej zasady.

W roku 1833-im, na żądanie ojca, który niechętnem okiem patrzył na literackie zajęcia Józefa, chcąc raczej zrobić z niego gospodarza i pomocnika swego w pracy na roli, Kraszewski wraca na wieś do Dołhego i bierze się do gospodarki. W duszy jednak żałuje życia wileńskiego, z jego ożywieniem, nauką, książkami, z uczonymi przyjaciółmi, z pracą pisarską. „Wszystkie moje piękne marzenia o literaturze już się rozwiały— pisze, ze smutkiem do babki — nie pozostaje, jak oswoić się z życiem wiejskiem“.

Nie łatwo to mu jednak przychodziło. „Ukradkiem, nocą, zrywał się do książek, do papierów, do rozpoczętych robót, o których myślał nawet wśród pól i gospodarskiej pracy“. To też gdy nadarzyła się ku temu sposobność, wyrusza do Horodca w gub. wołyńskiej, „do jednej znanej bibljoteki, którą chciałby obejrzeć i wyciągnąć z niej korzyść“.

Niespodziewanie, prócz ciekawych książek i pięknych obrazów, w które obfitował dwór Horodecki, młody pisarz znalazł tam to, o czem nie marzył, bowiem porwał jedną z krewnych państwa Urbanowskich, właścicieli Horodca, pannę Zofję Woroniczównę i, pozyskawszy jej serce, w kilka lat później pojął ją za żonę.

Myśl założenia własnej rodziny, własnego domu, była dla Józefa pobudką do tem usilniejszej pracy, gdyż w przekonaniu własnem „zhańbiłby się, gdyby swej przyszłej żonie całe swoje mienie miał zawdzięczać“.

Chcąc przyjść mu z pomocą, ojciec, który przez długi czas nie chciał zezwolić na małżeństwo z powodu zbyt młodego wieku Józefa, w końcu wziął dla niego w dzierżawę wieś Omolno, w gub. wołyńskiej. W roku 1838 Kraszewski żeni się i—jako rolnik, osiada na wsi.

Odtąd zaczyna się długi, całe dwadzieścia lat trwający okres życia wielkiego pisarza, pełen z jednej strony szczęścia rodzinnego,— z drugiej troski i kłopotów, które zatruwają mu chwile spokoju, a co gorsza — odrywają go nieustannie od pracy pisarskiej, stanowiącej prawdziwe jego powołanie.

Po dwuletniej niepomyślnej dzierżawie w Omolnie, przeniósł się Kraszewski pod Łuck do Gródka, który kupił w r. 1840. Później, w r. 1848, sprzedawszy Gródek, nabył tamże majątek Hubin, gdzie gospodarował do r. 1853, to jest do zupełnego wyjazdu ze wsi do miasta Żytomierza.

Z listów tak samego Kraszewskiego, jak i jego rodziny, widać, jakie życie pędził na gospodarstwie własnem ten pisarz-rolnik.

Sumienny we wszystkiem do najmniejszych drobiazgów, — wszędzie bierze się z zapałem do pracy. W Omolnie z wysiłkiem największym urządził gorzelnię, nakupił wołów, myśli o sadzeniu buraków... W Gródku, szczególniej w pierwszych latach, nie szczędzi trudu, żeby doprowadzić gospodarstwo do kwitnącego stanu. Z Hubina pisze: „Jestem prawie jak ekonomem: sam rozporządzam, objeżdżam, obchodzę... Sam wszystkiego doglądam, a konno tak tęgo

jeżdżę, że aż raz spadłem z konia, a raczej z koniem, bo się mój wierzchowiec powalił ze mną“...

Pomimo to, gospodarstwo nie zawsze mu szło po myśli, przymnażając trosk, które w końcu zniechęciły Kraszewskiego zupełnie do roli. Oto, naprzykład, z Hubina pisze do ojca: „Urodzaje mierne, a jarzyny spalone bardzo, zwłaszcza wcześniejsze; pszenica średnia, żyto również. U nas tu do granicy austryjackiej kupują żyto po 12 złotych, jęczmień po 10 za korzec, i ja trochę z kłopotem, sprzedać musiałem; owsa nikt nie ma, na wełnę kupca ani słychać“. Zdarzały się przytem zatargi i procesy, które do reszty odbierały ochotę do gospodarstwa.

Niewątpliwie wszakże najważniejszym tego powodem była ciągła rozterka, jaką czuł ten pisarz i poeta pomiędzy potrzebą pisania, tworzenia, którą mógł prawdziwą korzyść przynieść krajowi, a drobiazgami życia powszedniego, pochłaniającemi mu czas i siły.

„Wystaw sobie pan — pisał Kraszewski z Gródka — co to w tej nieszczęsnej głowie się dzieje, gdy z jednej strony biją z niej myśli z pięknego świata, a z drugiej kłopotliwe przypomnienie jutra, przyszłości, starości? Człowiek porywa pióro i rzuca, siada pisać i wstaje, chciałby tworzyć a nie może. Gdy wreszcie machnął ręką i odpędził wstrętne myśli, zasiadł i zaczął: wtem wpadł ktoś, wszedł z zapytaniem o stodole, owcach, gorzelni i wszystko popsuł. Wieczór nadchodzi, swobodny wieczór,—bo wieczorem rzadszy gość, nie przychodzą listy i nie latają daleko plotki; pewny jesteś odpoczynku. Gdzie tam! Oto wchodzi ekonom, któremu sto razy powtarzać musisz dyspozycję na jutro (a jednak jej nie spełni); sołtys wnosi ogromny pęk papierów do podpisania; dają ci znać, że przyszli żołnierze, a ty ich musisz rozstawiać, to znowu potrzebują furmanek pod przechód i t. d. Otóż wieczór ci przepadł!“

Pomimo wszakże tylu przeszkód i kłopotów, Kraszewski ani na chwilę nie ustaje w pracy literackiej,—pisze setki artykułów i korespondencji do licznych gazet, drukuje w tym czasie przeszło 30 pięknych powieści i kilka pomniejszych opowiadań historycznych, wreszcie zakłada i redaguje sam na wsi, w Gródku, pismo naukowe miesięczne, (Ateneum), do którego ściąga najlepszych pisarzy polskich. Niepodobna pojąć, jak temu olbrzymowi pracy starczyło czasu na tyle zajęć! A każdy artykuł jego, każda powieść była zawsze płodem głębokiej myśli i wielkiej miłości dla swego społeczeństwa, które bardziej niż jakiekolwiek potrzebowało wówczas bodźca i zachęty. „Chodzi mi o to, abym zachęcał ludzi i rozgrzał do pracy. Pragnę aby o mnie tylko to powiedziano, iżem się przyłożył do obudzenia ruchu umysłowego za moich czasów“.

Każdy rok przynosił świeże plony z niwy pisarskiej Kraszewskiego, — plony, które wlewały w społeczeństwo nowe myśli, nowe życie, budziły samowiedzę, pchały je na lepsze drogi. Praca taka, której przyświecała zawsze miłość prawdy i sprawiedliwości, nie mogła pozostać bez wielkiego wpływu na nasze społeczeństwo, — chociaż z drugiej strony narażała Kraszewskiego na niemałe przykrości ze strony ludzi głupich, złych lub zawistnych, — jakich niestety! nigdy nie brakuje.

W roku 1853-m, Kraszewski, jak wspomnieliśmy, porzuca Hubin i wyjeżdża z rodziną do Żytomierza. Pomimo doznawanych na wsi kłopotów, z bólem jednak żegna się z życiem wiejskim.

„Mnie żal mej starej wioski, jak starego [świata,
Żórawia moich studzien, płotów z chrósta [tkanych,
Gdzie z przyźbą czarną biała śmiała mi się [chata,
W ogródku z wisien niskich i bzów rozczochranych.
Żal mi ludu tego, co z nami żył w parze,
Sercem przy sercu naszem, z dłonią w na- [szej dłoni!
Żegnajcie, starzy moi bracia gospodarze;
Cześć waszym sercom czystym, waszej siwej [skroni!“

Prócz dalszych prac literackich, pobyt w Żytomierzu zaznaczył się w życiu Kraszewskiego dwiema okolicznościami, które stanowią najpiękniejsze listki w tym wieńcu chwały, jaki otacza skronie wielkiego pisarza. Mówimy o jego zasługach na urzędzie opiekuna gimnazjum w Żytomierzu i o zachowaniu się jego w sprawie usamowolnienia włościan, o której wówczas zaczęto szeroko radzić.

Urzad opiekuna szkół w tym czasie był wybieralnym; gdy więc Kraszewski na stałe zamieszkał w Żytomierzu, obywatele wołyńscy, zjechawszy się na wybór w r. 1856, jednogłośnie okrzyknęli go piekunem szkół, na na którym to urzędzie został przez władzę zatwierdzonym.

W pierwszej chwili przyjął te nowe obowiazki, ulegając głównie życzeniu ukochanego zawsze ojca. Sam bowiem uważał ten urząd za „niewiele znaczący i niewielką dający moc robienia dobrego“. Lecz następnie, wziąwszy się ze zwykłą gorliwością do spełniania tego zaszczytnego obowiązku, zmienił zdanie i dowiódł, jakie korzyści przynieść może na takiem stanowisku człowiek uczciwy, sumienny, prawdziwie kochający młodzież i dbający o jej rozwój. Przedewszystkiem, chcąc przekonać się o tem, jak młodzież się uczy, przy egzaminach po kilka godzin dziennie sam był w szkole, obecnością swoją zachęcał do pracy zarówno uczniów, jak i nauczycieli. Przekonawszy się, że dyrektorem gimnazjum jest człowiek zły i szkodliwy, użył wszelkich wpływów, żeby się go pozbyć. Gdy szło o dobro młodzieży, nie szczędził ani trudów, ani grosza, wspierał uczniów ubogich, zaopatrywał ich w książki i odzież, płacił nieraz wpisy, urządzał na ich dochód zabawy publiczne, a nadto w swoim domu miał zawsze na utrzymanie jeśli nie dwóch, to przynajmniej jednego wychowańca, przybranego za towarzysza do swoich synów, którzy już uczęszczali do gimnazjum. Zajęcia te, honorowe, a więc bezpłatne, zabierały mu wiele czasu, odrywały od pisania powieści i artykułów, którym jednak parę godzin rano i parę godzin wieczorem poświęcał ale dawały to wielkie zadowolenie, jakie sprawia zawsze uczciwe służenie swemu społeczeństwu. „Cieszę się tem — pisał Kraszewski, gdy polecano mu opracować nowy rozkład nauk dla szkół i urządzanie w przyszłości szkółek początkowych, „cieszę się, że z tej pracy, dla mnie ciężkiej, może być jakaś korzyść dla ludzi. Robię co mogę, i to mnie pociesza; fraszka literatura, gdzie chodzi o ulżenie nędzy, o oświatę i ważniejsze dla społeczności zadania.

Za tę pracę poczciwą doczekał się Kraszewski rzadkiego, a pięknego uznania. Gdy w parę lat potem część niechętnych obywateli postanowiła przeszkodzić dalszemu jego obraniu na opiekuna szkół, — do izby obrad weszła gronada przedstawicieli młodzieży, błagając wyborców, aby nie pozbawiali ich tak chlubnej a serdecznej opieki, jaką dotąd mieli w Kraszewskim. Prośba ta tak silne zrobiła wrażenie, że znaczną większością głosów, Kraszewski utrzymał się nadal na stanowisku.

W r. 1860 Kraszewski przeniósł się do Warszawy, gdzie zostaje redaktorem „Gazety Codziennej“, przezwanej potem „Polską“.

Warszawa nie po raz pierwszy witała sławnego pisarza w swych murach. Gościł w niej na krótko parę razy przedtem, doznawszy zrazu obojętnego i nieprzyjaznego, a później już życzliwego, a nawet gorącego przyjęcia. Niewątpliwie za pomocą gazety, Kraszewski pragnął i mógł był wywrzeć ogromny wpływ na społeczeństwo w tych czasach wielkiego ożywienia, — ale poczęści spotkał się z niechęcią swoich, którzy zarzucali mu zbyteczne sprzyjanie żydom w gazecie,—poczęści czasu mu zbrakło na rozwinięcie działalności dziennikarskiej — dość, że po paru latach — w początkach r. 1863, zmuszony został wyjechać z Warszawy za granicę i osiada na stałe w mieście Dreznie, stolicy Saksonji.

Jak ciężkiemi były dla tego wygnańca pierwsze chwile pobytu na obczyźnie, zdala od swoich i rodziny,

widzimy z listu, pisanego do brata: „Niczem tu uzyskany chwilowo spokój, chyba wyrzutem gdy się tam zostawiło ojca, żonę, braci, dziecko, a zresztą tysiące braci i tysiące matek... Zdrowie złe; życie nowe mi nie służy... Już mi się chce raz skończyć...“ Prędko jednak odzyskuje tęgość duszy, a w pracy pisarskiej znajduje powoli ukojenie. Jak zwykle bywa z ludźmi, gorąco miłującymi swoich, gdy znąjdą się na obcej ziemi,— Kraszewski wszystkie siły duszy poświęca teraz tym dalekim, ukochanym: dla nich pisze niestrudzenie, dniami i nocami, odtwarzajac w powieściach wszystko, czem serce jego przez tyle lat na ziemi rodzinnej żyło, co oczy widziały, co tylko wyobraźnia ze wspomnień świeżych i dawniejszych, ze starych ksiąg i opowiadań wysnuć zdołała... Nie było takiego objawu życia, któregoby ten człowiek nie badał; nie było warstwy w narodzie, którejby w powieściach nie przedstawił, — zacząwszy od królów, a kończąc na żebrakach; nie było epoki ważniejszej w dziejach na którąby nie zwrócił uwagi.

Tutaj, zagranicą, pisze Kraszewski kilkadziesiąt powieści obyczajowych i społecznych; tu kreśli wspaniałe obrazy historyczne z osiemnastego stulecia („Brühl“, „Hrabina Kozel“. „Z wojny siedmioletniej“, Ostatnie chwile księcia Wojewody“ i inne). Stąd zasila artykułami i listami wszystkie prawie pisma polskie w Warszawie, Krakowie, Lwowie i Poznaniu. Tutaj wreszcie, w Dreznie, podejmuje olbrzymią pracę przedstąwienia w powieściach historycznych całych dziejów kraju; z tych ostatnich utworów szczególniej pięknemi są: „Stara baśń“, „Lubonie“, „Bracia Zmartwychwstańcy“, „Król chłopów“ i „Kordecki“.

Zresztą nie tu miejsce, żeby wyliczać te setki powieści i prac literackich, w jakie wkładał całą swą duszę gorącą, wszystkie swe siły, ten niestrudzony pisarz w ciągu bisko 60-ciu lat pracy. Są pomiędzy naszymi czytelnikami tacy, którzy chcieliby je poznać i poznają z pewnością. Już dziś minął czas, kiedy powieść wielkiego autora znajdowała się tylko w bogatym domu lub dworze: tysiące powieści Kraszewskiego spotykamy wszędzie po małych dworkach po chatach rzemieślniczych i włościańskich.

Byłoby hańbą dla naszego narodu, gdyby ta olbrzymia, prawdziwie niepojęta — zawsze najwyższą miłością dla kraju ożywiona praca literacka Kraszewskiego nie znalazła należnego uznania i oceny. To też w roku 1879-m, gdy nadeszła 50-ta rocznica tej pracy, społeczeństwo polskie postanowiło uczcić ją uroczystym obchodem.

We wspaniałych salach Sukiennic krakowskich czcigodny jubilat ze łzami w oczach przyjmował serdeczny hołd od przybyłych na ten obchód rodaków...

Zdawałoby się, że ten siedemdziesięcioletni blisko starzec w spokoju i szczęściu dożyje lat swoich. Stało się inaczej. W r. 1883-m nagle sędziwy pisarz został uwięziony przez rząd pruski, pod zarzutem jakby zdrady stanu i wydania francuzom tajemnic wojskowych pruskich, i sąd w Lipsku skazał Kraszewskiego na trzy lata więzienia w twierdzy magdeburskiej. W końcu roku 1885-go, po wielu staraniach wypuszczono Kraszewskiego z więzienia czasowo, dla poratowania zdrowia, za złożeniem 20 tysięcy marek okupu.

Wyjechał do Włoch chory, wycieńczony więzieniem; — wkrótce też, 19 marca 1887-go roku, w Genewie, na ręku otaczających łoże jego kilku rodaków, życie zakończył.

W r. 1832 w liście do matki, jako młodziutki student, Kraszewski pisał: „Będzie czas odpocząć, gdy już wydam ze dwieście tomów dzieł, gdy będę sławny, bogaty...“ Bogatym nie był; a jednak zostawił nam po sobie na wieki magnacką spuściznę swego wielkiego ducha w postaci przeszło 400 dzieł i tysięcy artykułów — i umarł rzeczywiście sławnym, otoczony tem uznaniem i czcią całego narodu, o jakiem marzył, będąc dwudziestoletnim młodzieńcem.

Po śmierci, ciało Kraszewskiego sprowadzono z Genewy do Krakowa i pochowano uroczyście w kościołku na Skałce. Tam też znajduje się piękny jego nagrobek, a setki miejscowości, zwanych jego imieniem, tysiące jego portretów i popiersi, spotykanych po całym kraju — a, co najważniejsze, setki tysięcy tomów jego książek, stanowiących niezbędną część księgozbioru każdego oświeconego człowieka: oto dowody głębokiej miłości, jaką zjednał sobie ten wielki pisarz.

M. B.

Dawne echa.

Rozszlochała się w piersi piosenka,
— przyleciały dawne echa z wyraju
i stanęły u mego okienka,
zaszeptały baśń tak dziwną... o maju...

Zaszeptały pieśń dawną o wiośnie
i w zapachy bzów marzenia wspowiły,
a tęsknica gdzieś w piersi wciąż ro-
[śnie...
—Po co baśnią martwe budzić mogiły?

Rozszlochała się w piersi piosenka,
pragnie lecieć gdzieś na świata ru-
[bieże.
. . . .
. . . .
Dawne echa u mego okienka
śnieg w pokrowce martwej zimy
[ubierze...

Stef.

Wielki Polak 3)

Ksiądz Piotr Skarga

O „Kazaniach sejmowych".

Kazanie pierwsze.

W kazaniu tem mówi Skarga o mądrości potrzebnej do rady, t. j. naprawy Rzeczpospolitej. W słowach powagi pełnyah nawołuje przedstawicieli stanów Rzeczpospolitej, a szczególnie stany rządzące, aby wezwawszy Ducha św. o pomoc, przejęły się mądrością niebieską, która ma dobro powszechne na celu i zapomniawszy uraz wzajemnych, połączyły się we wspólnych usiłowaniach, ku jej szczęściu skierowanych. Myślą główną tego kazania jest, aby wszyscy dostojnicy, których Skarga nazywa bogami ziemskimi, ci wszyscy, którzy kierują sprawami państwa, starali się o nabycie cnót, najtrwalszą bowiem podwaliną szczęścia społeczeństw ludzkich jest tylko cnota.

Kazanie drugie.

„O miłości ku Ojczyźnie", jedno z najwspanialszych, najpiękniejszy w literaturze naszej XVI wieku pomnik patrjotyzmu polskiego. W kazaniu tem Skarga nawołuje rodaków, by nadewszystko kochali Ojczyznę i dla niej nie szczędzili trudów i poświęceń, przemawia z głębi gorącego i szlachetnego serca z siłą przekonania i wymienia dobrodziejstwa, jakie ojczyzna polska uczyniła swym synom.

„Jako najmilejszej matki swej miłować i onej czcić nie macie, która was urodziła i wychowała, nadała, wyniosła? Bóg matkę czcić rozkazał! Przeklęty, kto zasmuca matkę swoją! A która jest pierwsza i zasłużeńsza matka, jako ojczyzna, od której imię macie i wszystko, co macie, od niej jest? Która gniazdem jest matek wszystkich i powinowactw wszystkich i komorą dóbr waszych wszystkich?.. Czemuż jej serdecznie miłować i onę w całości zatrzymawać i dla zdrowia jej wszystkiego tracić, gdy tego jest potrzeba, nie macie? Onę miłując, sami siebie miłujecie, a nie utracicie; onej nie życząc i wiary nie dochowując, sami siebie zdradzacie". Gromi tych wszystkich obywateli, którzy dobra prywatne i sprawy osobiste wyżej stawiają nad dobro Rzeczpospolitej. „Miłujecie pożytki swoje pojedynkowe, a pospolite burzycie— i mniemacie, abyście dobrze sobie czynili i życzyli.

Gdy okręt tonie, a wiatry go przewracają, głupi tłumoczki i skrzynki swoje opatruje i na nich leży, a do

obrony okrętu nie idzie — i mniema, że się sam miłuje, a on się sam gubi; bo gdy okręt obrony nie ma i on ze wszystkiem co zebrał, utonąć musi; a gdy swemi skrzynkami i majętnością, którą ma w okręcie, pogardzi, a z innymi się do obrony okrętu uda, swego wszystkiego zapomniawszy, dopiero wszystko pozyskał i sam zdrowie swoje zachował.

Ten najmilszy okręt ojczyzny naszej wszystkich nas niesie, wszystko w nim mamy, co mamy. Gdy się z okrętem źle dzieje, gdy dziur jego nie zatykamy, gdy wody z niego nie wylewamy, gdy się o utrzymanie jego nie staramy, gdy dla bezpieczności wszystkiem, co w domu jest nie pogardzamy, — zatonie i z nim my sami poginiemy". Zwraca się wreszcie do magnatów: „Nie cieśnijcie, ani kurczcie miłości w swoich domach i pojedynkowych pożytkach! nie zamykajcie jej w komorach i skarbnicach swoich". Tych co przenoszą prywatę nad dobro publiczne nazywa „złodziejskiemi sercami".

Na początku tegoż kazania wylicza Skarga sześć chorób, które nękały Polskę. Pierwsza — „nieżyczliwość ludzka ku Rzeczpospolitej i chciwość domowego łakomstwa"; druga — „niezgody i rozterki sąsiedzkie"; trzecia — „naruszenie religji katolickiej i przysada heretyckiej zarazy"; czwarta—„dostojności królewskiej i władzy osłabienie"; piąta — „prawa niesprawiedliwe"; szósta — „grzechy i złości jawne, które się przeciw Panu Bogu podniosły i pomsty od Niego wołają". Kazanie o miłości ojczyzny, to koroną całej naszej literatury XVI wieku.

Kazanie trzecie.

„O zgodzie domowej". W kazaniu tem mówi Skarga o waśniach religijnych, o nieporządkach sejmowych, o lekceważeniu władzy królewskiej i samowoli, która przywodzi najpotężniejsze państwa do upadku. Widok niezgody wogóle, a na sejmach w szczególności, obudził w sercu Skargi bolesną obawę o przyszłość Polski. I stanęła przed nim ta przyszłość straszna, która we dwa wieki później stała się rzeczywistością.

I oto wyrwały mu się z ust te słowa prorocze: „Nastąpi postronny nieprzyjaciel, jąwszy się za waszą niezgodę i mówić będzie: rozdzieliło się serce ich, teraz poginą!... I ta niezgoda przywiedzie na was niewolę, w której wolności wasze utoną i w śmiech się obrócą... Bo wszyscy z domem i zdrowiem swojem w nieprzyjacielskiej ręce stękać będą, poddani tym, którzy ich nienawidzą. Ziemie i księstwa wielkie, które się z Koroną zjednoczyły i w jedno ciało zrosły odpadną i rozerwać się dla waszej niezgody muszą... Język swój... i naród swój pogubicie... i w obcy się naród, który was nienawidzi obrócicie... Będziecie nie tylko bez pana krwi swojej i bez wybierania jego, ale też bez ojczyzny i królestwa swego, wygnańcy wszędzie, nędzni wzgardzeni, ubodzy włóczęgowie, których popychać nogami tam, gdzie was pierwej ważono, będą". Skarga przewidział wszystko, to też teraz dopiero możemy należycie ocenić jego słowa. W literaturze staropolskiej niema nic, coby sprawiało silniejsze wrażenie, niż kazanie trzecie.

Kazanie czwarte i piąte.

Skarga poświęca je trzeciej chorobie Rzeczpospolitej — różnowierstwu. Kazania te są doskonałem streszczeniem poglądów na reformację i jej skutki. „Religja katolicka zgodę i całość królestw... dochowywa, a heretyctwo je obala". Oto myśl Skargi. Występuje on jako wierny syn kościoła i gorliwy szerzyciel religji katolickiej. daleki jednak od fanatyzmu. Kazania te nie posiadają już tego ognia co poprzednie i jak tego natura rzeczy wymagała, odznaczają się ścisłością, mnóstwem cytat z Pisma św. i ojców kościoła i głęboką erudycją.

Kazanie szóste.

„O monarchji i królestwie". Dotyka jednej z najgroźniejszych chorób państwowych dostojności i władzy

królewskiej osłabienia. Narzeka w tem kazaniu Skarga na uszczuplenie majestatu królewskiego w Polsce, niezmiernie trafnie charakteryzuje samowolę szlachecką, bezkarność winowajców, warcholstwo „królików“, to jest możnowładców polskich, którzy trzymali w niewoli ciemną, niezdającą sobie nawet z tego sprawy, szlachtę chodaczkową.

Świetna i śmiała niesłychanie na owe czasy krytyka „złotej wolności“, czyli raczej anarchji polskiej jest najlepszym dowodem rozumu politycznego Skargi. Nie omieszkał napiętnować surowo osławionego „liberum veto“, które było powodem zerwania tylu sejmów. Wiek siedemnasty, pełen zdrad i rokoszów, czasy rozbiorowe są okropnem stwierdzeniem poglądów politycznych Skargi.

Kazanie siódme.

„O prawach niesprawiedliwych“. Skarga mówi w niem, że bez praw sprawiedliwych nie ostoi się żadne państwo; wylicza wszystkie szkodliwe prawa w Polsce — zniesienie sądownictwa biskupiego, konfederację warszawską z roku 1573, nadającą zbyt wiele praw dysydentom, to jest niekatolikom, prawo „neminem captivabimus, nisi iure victum“, gwarantujące wolność osobistą oskarżonym, aż do wyroku sądowego, źródło bezprawi i gwałtów i mordów. Wreszcie żąda wolności osobistej włościan i zniesienia prawa dozwalajacego panu sądzić własnych poddanych.

Kazanie ósme.

„O niekarności grzechów jawnych“. Wygłosił je Skarga na zamknięcie obrad sejmowych. Obok drugiego należy ono do najwznioślejszych. Skarga zebrał tu raz jeszcze i stwierdził wszystko, co mówił w poprzednich kazaniach o grzechach i winach narodu i piorunującym stylem proroków biblijnych—Jeremjasza, Izajasza, Ezechiela i Jonasza, przepowiada mu straszny koniec, jeśli wczas nie przebłaga Boga i nie skłoni się do poprawy. W tem kazaniu skupiły się wszystkie uczucia patrjotyczne Skargi i miłości ojczyzny, i święte oburzenie na jej złych synów, i okropny lęk o jej przyszłość, i nadzieja, że jeszcze może zmiłuje się Pan Bóg nad Polską. Po strasznym rachunku sumienia, Skarga, jak prorocy starotestamentowi, w słowach potężnych niby grzmot burzy, wydaje na Polskę wyrok upadku.

Rzewną modlitwą, aby się Bóg zlitował i dał ojczyźnie dobrą wolę i siły do poprawy, kończy to wspaniałe kazanie.

Znaczenie „Kazań sejmowych“.

Głos Skargi był jakby głosem wołającego na pustyni—przebrzmiał bez echa. Kazania sejmowe, w których skupiło się wszystko, co tylko mądrego, wzniosłego i szlachetnego zawierała nasza literatura patrjotyczna XVI wieku, nie wywarły pożądanego wpływu na życie. Polska toczyła się w przepaść, póki wreszcie nie upadła. Pomimo to „Kazania sejmowe“ zostaną na zawsze, jako arcydzieło wymowy kaznodziejskiej, najlepszego syna Polski, który był niejako uosobieniem uczuć miłości względem Boga i ojczyzny, Skarga mógłby z całą słusznością powiedzieć o sobie, co później wyrzekł Mickiewicz: „Za miljony kochałem i cierpiałem“.

Nie powiedział tego ten mąż święty, bo mu na to nie pozwalała jego głęboka pokora.

A. S.

O poczuciu honoru.

Najcenniejszym skarbem człowieka, jest honor czysty, niczem nie splamiony. ¡Można być bogatym, dzięki czemu można się otoczyć zbytkiem i przepychem, można używać rozkoszy życia dowoli, ale...

Poczucie honoru, jego nieskazitelność zapewnia nam szacunek u ludzi, spokój własnego sumienia, odczucie wewnętrznego zadowolenia. Człowiek, mający tę pewność siebie, że na honorze jego niema żadnej plamy, patrzy przed siebie jasnym

okiem, nikogo się nie ulęknie, idzie zawsze naprzód śmiało, pewny czystości swego sumienia. Człowiek taki jest spokojny, zrównoważony. I to właśnie zapewnia mu szacunek innych, a ten znów ułatwia współżycie z ludźmi.

Człowiek honoru szanuje przedewszystkiem samego siebie. Przejawia to się w ten sposób, że przedewszystkiem, nie spotkamy go w takiem otoczeniu, któreby mu uwłaczało, a jeżeli to kiedykolwiek ma miejsce, to zachowaniem swojem odróżnia się od reszty niewłaściwego towarzystwa.

Człowiek honoru, nie cofa nigdy swego słowa. Jeżeli coś obiecał, jeżeli się do czegoś zobowiązał, to bodaj kosztem własnego życia na słowie się stawi. Ale też człowiek honoru nie obiecuje nic takiego, do wypełnienia czego nie czuje sił. Zanim przyrzeknie, pierwej głęboko się zastanowi, rozważy rozumnie—i jak odpowie, to już mur.

Człowiek honoru nie plami swoich ust kłamstwem. Wszystko jedno, czy w żartach, czy w drobnych sprawach codziennych, czy wreszcie w ważnych momentach *zawsze mówi prawdę.*

Człowiek honoru nie ugania się za łatwym i dużym zyskiem, bo łatwy zysk nigdy nie przychodzi uczciwą drogą. Dlatego też pierwej wybada źródło dochodu i jeżeli tam wchodzi w grę nieuczciwość, kłamstwo — zyskiem takim się brzydzi.

Człowiek honoru, aczkolwiek szanuje siebie samego, to jednak nie pcha się przemocą naprzód, nie krzyczy o sobie, nie chwali się, nie rwie się do zaszczytów i dostojeństw. I nic na tem nie traci, bo później czy wcześniej — ludzie go ocenią.

Naprawdę, nie będę się dalej rozwodził nad tem, co robi człowiek honoru, a co czyni człowiek pozbawiony tego, bo długo bardzo trzebaby o tem pisać. Starałem się tylko wysunąć najważniejsze momenty. I chociażby tylko na podstawie tych kilku uwag tu przytoczonych, widzimy, jak ludziom mogłoby być dobrze, gdyby się rządzili *honorem.*

Nie byłoby złego przykładu, ludzie wzajemnieby się szanowali, nie byłoby pustych obietnic, oszustw, wyzysku, nie byłoby spychania się w walce o lepsze miejsce i dostojeństwa.

Naprawdę byłoby dobrze!

Kto jak kto, ale my możemy o tem myśleć. Przed nami to życie stoi otworem. Przed nami wielkie dzieło nowego życia — my jego twórcami!

Teraz nam tylko pracować nad sobą, walczyć z tem wszystkiem, co złe w nas nurtuje, a jeżeli walka podjęta będzie z rozumnym zapałem, z silnem postanowieniem wytrwania, walkę wygramy!

Terenem tej walki niech będzie Stowarzyszenie nasze, szkoła i dom. Terenem walki niech będą nasze serca, nasza myśl i niechaj ta walka przejawia się w każdym kroku naszego życia.

K. Gajewski.

Czystość jest wielkim przymiotem człowieka.

Moi kochani chłopcy! Oto mamy nowy dowód jak nasz lud wiejski mało dba o czystość, która nie tylko jest podstawą zdrowia człowieka, broni go od wielu chorób, zwłaszcza zakaźnych, ale jednocześnie jest dowodem jego kultury i cywilizacji. Tylko narody ciemne, nieucywilizowane, toną w nieczystości i brudzie, oświecone zaś wiedzą dobrze, że czystość to zdrowie nietylko ciała, ale i duszy. W brudzie, ciemności i wilgoci lęgną się rozmaite jadowite zarazki chorób zakaźnych, lęgnie się wstrętna *wesz,* wierny towarzysz brudu i niechlujstwa, wróg nietylko zdrowia, ale i *życia* człowieka, ona bowiem szerzy z chorych na zdrowych przez ukąszenie tak ciężkie choroby, jakiemi są tyfus plamisty i powrotny. Czy jest więcej niebezpieczny pasorzyt na skórze człowieka,

jak wesz? Ona to wywołuje bardzo dokuczliwe swędzenie, uporczywe wysypki skórne i obrzmienie gruczołów pod szyją. Tę wstrętną wesz, moi drodzy chłopcy, należy tępić wszystkiemi środkami, jeżeli wam jest drogie zdrowie i życie, jeżeli chcecie być przyjemnymi dla otoczenia.

A cóż się dzieje u nas? Oto w chatach wiejskich panuje brud, niechlujstwo i gospodaruje w najlepsze robactwo, a dzieci z zawszonemi głowami chodzą do szkoły. Czyż może być coś wstrętniejszego? Wszak matki powinny wychowywać dzieci w zasadach czystości wzorowej, często je kąpać, myć ciepłą wodą z mydłem. Nie żałujcie na nie pieniędzy. Dobrze jest włosy przystrzygać krótko. Gdy się już wszy zalęgną, należy przystrzyc włosy przy samej skórze i myć codzień głowę ciepłą wodą z mydłem. Dla dziecka brud to trucizna dla duszy i ciała, źródło rozmaitych chorób skórnych. Świećcie, kochani chłopcy, sami przykładem wzorowej czystości i bądźcie jej apostołami.

Na wszy doskonałem, wprost nieocenionem lekarstwem jest roztwór *sabadilli w occie*. A mianowicie: bierze się 3 gramy sabadilli na 100 gramów octu i tą mieszaniną należy zwilżyć włosy tak, aby ani jeden włos suchym nie pozostał. Mocny ocet tępi doskonale wszy i gnidy. Na noc należy na głowę włożyć czepek. Zrana na drugi dzień należy włosy dokładnie wymyć ciepłą wodą z mydłem i wyczesać grzebieniem zmoczonym w roztworze sabadilli w occie. Można również głowę zmywać czystą *naftą*, tylko w takim razie należy strzec się ognia. Czesanie gęstym grzebieniem zmaczanym w occie i częste mycie głowy ciepłą wodą z mydłem, roztwór sabadilli w occie nakoniec, napewno wytępią wstrętne wszy.

Agitujcie, kochani chłopcy, w tym kierunku, aby w każdej wiosce znajdowały się kąpiele i to najlepiej przy *szkole*. Szkoła powinna zaszczepiać potrzebę czystości. Lud polski musi być koniecznie czystym, jeżeli nie chce uchodzić za ciemny i nieucywilizowany. A wy drodzy chłopcy, idźcie z temi zasadami naprzód, a Polska wam wdzięczną będzie.

Dr. Wł. Chodecki.

Z ruchu wśród młodzieży.

SPRAWOZDANIE

z działalności Sekretarjatu Młodzieży Polskiej Okręgu Zamojskiego od dnia 1-go stycznia 1921 roku do dnia 1-go stycznia 1924 roku.

Praca wśród młodzieży pozaszkolnej ujętej w ramy Stowarzyszeń Młodzieży Polskiej na terenie Zamościa datuje się od 1 stycznia 1921 roku.

Po zorganizowaniu Stowarzyszeń Młodzieży w Zamościu — St. M. P. im. Księcia J. Poniatowskiego, Elizy Orzeszkowej, Królowej Jadwigi, w Majdanie i w Łabuniach — powstała myśl zorganizowania Sekretarjatu Okręgowego na powiat Zamojski, który ma na celu zakładać Stowarzyszenia, wizytować je, ułatwiać im pracę, urządzać zjazdy, zloty, kursa różne i jest pośrednikiem między Stowarzyszeniami a Centralą, która ma siedzibę w Lublinie.

Okręg Zamojski liczy obecnie 11 Stowarzyszeń a mianowicie: Zamość (3), Majdan, Czołki, Łabunie, Krynice, Boża Wola, Zwierzyniec, Horyszów Polski, Stabrów.

Należy zaznaczyć szczególnie pomyślny rozwój niektórych Stowarzyszeń, które prowadzą pracę systematycznie i planowo. Zebranie urządzane co miesiąc z pogadankami lub wykładami bywają urozmaicane deklamacjami, monologami, djalogami i śpiewem. Stowarzyszenie im. Elizy Orzeszkowej w Zamościu posiada Kasę Drobnych Oszczędności, oprócz tego zorganizowało biuro pośrednictwa służby domowej, przez co skierowało wiele jednostek na dobrą drogę.

Rocznice narodowe: Styczniowa, 3 Maja i listopadowa uroczyście są obchodzone w Stowarzyszeniach.

Młodzież występuje w pochodach oraz urządza wieczornice ku uczczeniu tych świąt i pamiętnych chwil.

Z inicjatywy Sekretarjatu w paru Stowarzyszeniach urządzono „Obchód Gwiazdkowy".

Członkowie Stowarzyszeń czytają swój organ „Przyjaciela Młodzieży" i „Młodą Polskę, a także „Drużynę" i „Kierownika Młodzieży".

Bibljoteki są zaledwie w niektórych Stowarzyszeniach. Każdego roku delegaci poszczególnych Stowarzyszeń uczestniczą w Zjeździe delegatów Stowarzyszeń M. P. w Lublinie. W sezonie zimowym Stowarzyszenia urządzają kursa wieczorowe, przedstawienia amatorskie, uprawiają gry pokojowe. W sezonie letnim zaś wycieczki, gry na boisku, odwiedzanie sąsiednich Stowarzyszeń.

Zarządy pozostają w ścisłym kontakcie z Sekretarjatem. Sekretarjat urządzał 2 kursa organizacyjno-oświatowe dla Zarządów Stowarzyszeń Młodzieży Polskiej. Pierwszy kurs trzydniowy, odbyty 18, 19 i 20 lutego 1922 roku, liczył 20 uczestników. Oprócz referatów, wygłoszonych przez specjalnie zaproszonych referentów, podawano uczestnikom wskazówki praktyczne o sposobie prowadzenia zebrań.

Drugi kurs dwudniowy, odbyty 19 i 20 lutego 1922 roku liczył 50 uczestników. Kurs prowadził wizytator Stowarzyszeń p. Gołąb, znany ze swej swady oratorskiej, niepospolity mówca, zapalił młódź do pracy wydajnej w organizacjach. Oprócz p. Gołąba na kursach wygłosili referaty: p. Paschalska o odżydzaniu kraju, p. Kowerski o odżywianiu krów i p. Prüffer z dziedziny rolnictwa.

Urządzano zjazdy prezesów poszczególnych Stowarzyszeń, celem ujednostajnienia pracy w organizacjach. Dnia 18 listopada 1923 r. urządzono Zlot Stowarzyszeń M. P., na który zaproszono wizytatora p. Gołąba, który w swoim przejrzystym referacie wykazał młodzieży, że praca w Stowarzyszeniach, to praca dla Polski.

W zlocie brało udział 130 osób. Zlot zakończono wieczornicą towarzyską.

Sekretarjat urządzał kursa wieczorowe dla członków Stowarzyszenia. W roku 1921 uczęszczało 30 osób, a w roku 1922—15 (piętnaście). Kursa były prowadzone z pomocą p. Kuncewiczowej, dyrektorki Seminarjum Żeńskiego.

W kwietniu 1923 r. urządzono kurs introligatorski czterotygodniowy, na którym uczestnicy w liczbie 10 osób zaznajomili się dokładnie z oprawianiem książek, co przyniosło korzyść. Sekretarjat Okręgowy wysłał dwuch członków ze Stowarzyszenia im. Księcia J. Poniatowskiego w Zamościu i trzech członków z Łabuń na kursa sportowe do Biedruska pod Poznaniem. Po odbytym kursie członkowie ci pracują jako instruktorzy Stowarzyszenia.

W myśl paragr. 12 ustawy St. M. P., na terenie Zamościa powstało Koło Przyjaciół Młodzieży Polskiej, które za pomocą Sekretarjatu roztoczyło opiekę nad poszczególnemi Stowarzyszenia.

(Koło P. M. P. liczy 28 członków. Zarząd K. P. M. P. składa się z 7 członków. W skład Zarządu wchodzi i sekretarz okręgowy).

Sekretarjat w roku 1923 wizytował 4 Stowarzyszenia, wydał 9 okólników do Stowarzyszenia, zorganizował bibljotekę teatralną i dopomógł zorganizować kółko mandolinistów w St. M. P. Księcia Poniatowskiego w Zamościu.

Oto krótkie sprawozdanie z działalności Sekretarjatu St. M. P. w Zamościu.

Różne wieści.

Trzęsienie ziemi w Amalji spowodowało wielką katastrofę. Runęło wiele gmachów, stoczyły się całe góry, potoki wystąpiły z brzegów, linje komunikacyjne uszkodzone. Zginęło około 100 ludzi.

Dookoła świata. Amerykańskie Ministerstwo Wojny organizuje lot dookoła świata. W locie weźmie udział 5 aeroplanów. Lotnicy odlecą z Waszyngtonu dnia 15 marca 1925 roku. Dnia 1 kwietnia odlecą z granic Stanów Zjednoczonych, by odbyć drogę zakreśloną przez szefa amerykańskiej służby lotniczej. Będą oni przelatywać kolejno wzdłuż wybrzeży kanadyjskich do Alaski, potem nad Japonją, Chinami, Sjamem, Birmanją, Indjami przez Turcję do Paryża, stamtąd do Londynu, potem do Irlandji, Grendlanji, Labradoru, przelecą Montreal i Kwebek wracając z powrotem do Waszyngtonu. Powrót nastąpiłby prawdopodobnie we wrześniu roku przyszłego. Celem wyprawy jest dokonanie próby aparatów w najrozmaitszych warunkach klimatycznych: od podbiegunowego, aż do pod-równikowego. Na każdym aparacie musi się znajdować jeden oficer i jeden szeregowy z amerykańskiej służby lotniczej. Już teraz, rząd amerykański wysłał ludzi celem poczynienia odpowiednich przygotowań w ważniejszych punktach na drodze przelotu wg. wytycznej marszruty.

O przyjmowaniu ochotników kowali do wojska.

W związku z odezwą M. S. Wojsk. Dep. I, ogłoszoną w Polsce Zbrojnej w dniu 6 lutego r. b. Nr. 36 odnośnie zaciągu ochotników przy dorocznym poborze 1924 r. M. S. Wojsk. Dep. II podaje do wiadomości, co następuje:

Ochotnicy kowale z 2-letnią praktyką umiejący czytać i pisać po wyszkoleniu rekruckiem odsyłani będą do wojskowych szkół kucia koni (przy kadrach Okręgowych Szpitali Koni), po ukończeniu których pozostały czas służby ochotniczej będą pełnić w oddziałach wojskowych, jako podkuwacze.

Ochotnicy kowale, którzy po ukończeniu szkoły kucia przy Kadrach Okręgowych Szpitali Koni zgłoszą życzenia oraz otrzymają dobrą kwalifikację, mogą być odesłani w drugim roku służby, w miarę istnienia wolnych miejsc, do Centralnej Wojskowej Szkoły Podkowniczej.

Czas służby ochotniczej zalicza się za czas służby obowiązkowej.

Zgodnie ze statutem Centralnej Wojskowej Szkoły Podkowniczej (Dz. R. 42/22 r.) — kończący ją mogą być przyjęci do wojska jako zawodowi majstrzy podkuwacze, w myśl ogólnych przepisów, dotyczących majstrów wojskowych.

Ochotnicy kowale mogą zgłaszać się we właściwych Powiatowych Komendach Uzupełnień do dnia 1 czerwca r.b.

Posady dla inwalidów.

Ministerstwo sp. wewn. wydało polecenie wszystkim wojewodom w sprawie przestrzegania przez związki komunalne obsadzania wolnych miejsc w swoich biurach, zakładach i przedsiębiorstwach inwalidami. Aby zarządzenie to było jaknajskrupulatniej wykonane, minister spraw wewnętrznych polecił za pośrednictwem wojewodów związkom komunalnym, przedkładanie ministerstwu spraw wewnętrznych wykazu oddawanych posad inwalidom.

HUMOR.

Przewidział...

Dwaj przyjaciele poszli razem na kolację. Zamówili dwie porcje ryby. Podano im razem na jednym półmisku. Jedna ryba była duża, druga mała.

— Proszę cię, Mikuś, bierz!

— Nie, Rafałuszku, ty bierz pierwszy.

Certowali się długo, wreszcie Mikuś ustąpił i wziął — dużą rybkę. Rafał prędko się załatwił ze swoją małą rybką, położył widelec i rzekł:

— Mikuś, ja ci powiem, że jesteś prosię!

— Dlaczego, Rafałuszku!

— Dlatego, żeś wziął większą rybkę!

— A gdybyś ty brał pierwszy, którąbyś wziął?

— Ma się rozumieć, mniejszą.

— No widzisz, ja o tem wiedziałem...

ODPOWIEDZI LEKARSKIE.

P. Sieradzanowi. Zwierzę jeszcze w chwili ukrycia choroby może zakazić nią człowieka i inne zwierzęta. Dla zarażenia się potrzebną jest chociażby mała ranka na skórze. Ukąszenie przez odzież nie jest tak niebezpieczne. Zarazek wścieklizny znajduje się *we krwi* chorego zwierzęcia, Wybuch choroby następuje najwcześniej w kilka tygodni po ukąszeniu. Wścieklizna nie leczona metodą Pasteura, kończy się śmiercią.

Dr. Wł. Chodecki.

Odpowiedzi Redakcji.

A. Bałabański, Bielica; Szkoły takiej jeszcze niema, da Bóg, że może niedługo nas stać będzie na to, obecnie ze względu na stan skarbu wszystkie są płatne.

Redaktor: **Stefan Kotaniec.** Wydawca: **Centr. Tow. Rolnicze.**

Druk A. Białobrzeskiego, Żórawia 7, tel. 245-83.